

Ogień, czyli moja energia

Siedzę przy ogniu. Przyjemne ciepło gładzi moją skórę. Wyciągam ręce na bezpieczną odległość, by czerpać tę ożywczą energię z żarzących się polan. Płomienie skaczą i tańczą przewrotnie, a w samym środku ogniska tętni jego żarliwe serce. Wpatruję się w płomienie, w te niezwykle żółto-pomarańczowe języki gładzące powietrze, zdawałoby się, niewinnie. Czym jesteście? Czym jesteście ogniu?

Tęgi umysł naukowca z pewnością zdołałby odpowiedzieć na to pytanie, odwołując się do procesu spalania, utleniania, w którym cząsteczki gazów zamieniają się w to, co widzimy pod postacią płomienia. Ale jakoś nie zadowala mnie ta odpowiedź. Czyż w tych słowach, równaniach chemicznych jest rzeczywiście odpowiedź na to niezwykle doświadczenia kontaktu z płomieniem? Czy liczby mogą wyjaśnić to, co jest w istocie tak żywe i niezwykle? A może lepiej zamilknąć i pobyc z tym ogniem i jego tajemnicą bez słów, bez koncepcji, ciesząc się tą prostą chwilą, czystym byciem przy ogniu.



[Fot. Vincepal, flickr.com](https://www.flickr.com/photos/vincepal/)

Spoglądając głęboko w te płomienie, dostrzegam słońce. Czując ciepło ognia na swojej skórze, doświadczam słonecznego ciepła. To w końcu jego promienie (razem z wodą i jeszcze wieloma innymi istotami) stworzyły tę gałąź, która teraz tli się w ognisku. To słońce swoim światłem i ciepłem pozwoliło drzewu rosnąć i zamieniać to, co ulotne i świetliste na to, co grube i materialne – żywe komórki drzewa. Teraz to w nich zaklęta jest ta słoneczna tajemnica, uwalniana przeze mnie tutaj przy ognisku.

Dotykam swoich dłoni. Są ciepłe. Ale to nie tylko ten zewnętrzny ogień je ogrzewa. W końcu całe moje ciało jest ciepłe. Jest niezmiennie ciepłe. Wewnątrz mnie również pali się ogień, wprawdzie nie jest on tak parzący jak ten, przed którym teraz siedzę, ale mimo wszystko noszę w sobie ciągle to palenisko, w którym tli się moje ciepłe życie. Dokładam do niego codziennie kilka razy paliwa, by ogień nie zgasł. Moje posiłki, jedzenie, które przyjmuję, są dla mnie paliwem, które spalam w wewnętrznym piecu. Gdy patrzę wnikliwie na talerz z obiadem, po raz kolejny widzę w nim kawałek słońca. Te ziarna, rośliny, warzywa, które na nim się znajdują, są promieniami słońca tutaj na Ziemi, przede mną. Biorę je i zjadam, by za jakiś czas zamieniły się w to, co stanowi ich źródło, czyli słoneczne ciepło – energię.

Całe moje życie przeniknięte jest tą energią, każdy mój ruch, każdy krok stanowi wspomnienie słońca, dzięki któremu to wszystko jest możliwe. Czy w tym słonecznym poemacie ciepła i światła występuję tylko ja? Nie, gdziekolwiek się nie rozejrzę, widzę, że wszystko, co żyje, czerpie z tego nieskończonego źródła siłę i moc zamienianą też na tkanki własnego ciała. Drzewo po swojemu zamienia słońce na celulozę, glon pływający w morzu na własne strzępiaste ciało, a ja po swojemu na ludzkie komórki.

Nic, co żyje, nie jest w stanie istnieć bez słońca bezpośrednio lub pośrednio. Może właśnie dlatego słońce było pierwszym bogiem człowieka. Było pierwszą istotą, której człowiek oddawał cześć, którą prosił o dobre plony i o przeżycie. Prometeusz wykradający ogień bogom, podarował ludziom bodaj największą tajemnicę wszechświata. Ten kawałek boskiego ciała pod postacią płomienia pali się dzisiaj w niezliczonych świątyniach wszystkich chyba religii, przywołując to prastare wyobrażenie nadprzyrodzonej istoty, która codziennie wschodzi po to, by ogrzać i rozświetlić cały świat.



Światło, światłość, przejrzystość, jasność – te wszystkie językowe określenia przywołują nasze najbardziej pierwotne intuicje, w których to, co dobre, korzystne, przyjemne kojarzy się ze słońcem i jego życiodajną jasnością. Tam, gdzie jest światło, jest właściwe życie. W mroku i ciemności gubimy się, czujemy się niepewnie, towarzyszy nam lęk. Te wszystkie negatywne uczucia dosłownie pryskają jak bańka mydlana z pierwszym promieniem słońca, dającym upragnioną jasność.

Kolisty obraz tarczy słonecznej oraz wędrówka słońca po niebie w cyklu dobowym i rocznym przywołują niezmiennie doskonałą figurę, jaką jest koło. To nie człowiek wymyślił koło. Jest ono bowiem kolejnym prezentem od naszego słonecznego ojca.

Cykliczność procesów życiowych wpisująca się w kolisty porządek natury, w całości zależy od słońca. Dzień i noc, cztery pory roku, to wszystko zależy od naszego słońca, które ostatecznie podpowiada nam, że nic się nie kończy, a wszystko się powtarza. Koło nie ma początku i końca. Koło nie zna lęku przed tym, że coś bezpowrotnie odchodzi, ponieważ wszystko powtarza się i niezmiennie trwa. Po nocy zawsze przychodzi dzień, a po zimie wiosna. Ten odwieczny porządek natury, wyznaczony słonecznym zegarem dozującym ilość światła i ciepła, był dla naszych przodków nie tylko wskazówką, jak należy radzić sobie z życiem (jak uprawiać ziemię), ale też podstawą ważnego duchowego wglądu. Życie człowieka przypomina wędrówkę słońca w ciągu doby lub w ciągu roku. Rodzimy się, wzrastamy, dojrzewamy, mamy swój szczytowy czas, swój ludzki zenit, po którym stopniowo wycofujemy się, zamieramy, aż w końcu odchodzimy w ciemność lub zimę, ale tylko po to, by znów się odrodzić i w kolejnym cyklu wędrować przez życie podobnie jak słońce. Słoneczna cykliczność daje obietnicę nieśmiertelności przy zmieniających się formach, co przynajmniej częściowo może zredukować nasz lęk przed śmiercią, która z tej perspektywy nie jest widziana jako koniec drogi. Bo w słonecznej rzeczywistości nic nie ma końca, jest jedynie czas odpoczynku, czas snu, po którym życie ponownie wzrasta i rozkwita.

Zachody i wschody słońca. Wiosenna i jesienna równonoc oraz letnie i zimowe przesilenia, to niezwykle kotwice, dzięki którym nasi przodkowie potrafili namacalnie doświadczyć przynależności do kosmicznego porządku. Mogli poczuć, że słońce jest ich Ojcem, który troszczy się o nich i który dzieli się prawdziwą mądrością, ucząc życia wolnego od lęku, z pełnym zaufaniem do cyklicznego procesu będącego podstawą życia.

Dzisiaj wydaje się, że to wszystko są naiwne zabobony. Utraciliśmy tę kolistą, słoneczną mądrość na rzecz linearnego, progresywnego porządku. Nasz świat przestał być kołem, stał się linią prostą, która prowadzi nasze myślenie na manowce. Trzeba się rozwijać, trzeba iść do przodu, trzeba mieć więcej, trzeba, by wskaźniki rosły (najlepiej w nieskończoność). W tym linearnym, ludzkim porządku ciągle czai się lęk i niepewność. Gdzie mamy dojść, gdzie jest koniec, z pewnością jest jakiś koniec, który napawa nas przerażeniem. Początek i koniec to dwa pojęcia, które odbierają nam spokój umysłu i fabrykują ciągły lęk.

Zapytajmy słońca, czy trzeba gdzieś tak gnać, tak miotać się i zamartwiać. Wsłuchajmy się w tę prastarą mądrość i zobaczymy nasze życie z tej perspektywy. Nie ma niczego, do czego musielibyśmy tak intensywnie, bez umiaru dążyć. Wszystko będzie w swoim czasie, w swoim rytmie wyznaczonym przez porządek dużo większy niż ten, który my, ludzie, ustanawiamy. Cały czas jesteśmy zależni od tego porządku i dobrze byłoby, gdybyśmy potrafili się z nim zestroić i zgodzić z nim żyć.

Ten rytm niezmiennie od miliardów lat powtarza „nie ma lęku”, „nic się nie kończy i nie zaczyna”.

Dlatego tak ważne jest, abyśmy codziennie praktykowali wschody i zachody słońca, byśmy

przypominali sobie, na czym w istocie polega życie, nabrali większego dystansu i pokory wobec tego, co się wokół nas dzieje. Wielu z nas z pewnością pamięta te szczególne chwile, gdy słoneczny dysk pojawiał się nad horyzontem, rozpoczynając kolejny dzień lub gdy nikał w morzu lub za wzniesieniem w widowiskowej feerii barw. Jakże piękne są to widoki, ale też jakże niezwykle spokój i harmonię ze sobą niosą. Gdybyśmy potrafili codziennie tak zaczynać i kończyć dzień, może nasze życie nabrałoby większej równowagi. Nawet, jeśli jest to dla Ciebie trudne, to warto po przebudzeniu i przed zaśnięciem poświęcić kilka chwil na tego typu refleksję, by na powrót znaleźć się na właściwych torach.

Jeśli zaś chcesz jeszcze bardziej pogłębić to doświadczenie, możesz podążyć śladem naszych praojców i szczególnie traktować czas przesilen i równonocy, tych czterech niezwykle punktów w roku, kiedy słońce ma nam do przekazania najważniejszą naukę.

Czego słońce możesz nas jeszcze nauczyć?

Jak prawdziwy ojciec wobec własnych dzieci, słońce dzieli się z nami tym, co ma najlepszego, czyli sobą. Wypromieniowuje energię, którą my przyswajamy na wiele rozlicznych sposobów. Słońce nie oczekuje niczego w zamian, daje bez żadnych warunków. Mało tego, świeci zarówno na tych, których cenimy i traktujemy jako godnych słonecznej nagrody, jak i na tych, którzy w naszym przekonaniu są złoczyńcami. Podobnie jest w świecie roślin i zwierząt. Słońce nie jest zainteresowane tym, czy jakiś organizm jest pożyteczny czy szkodliwy, czy ktoś jest ładny i miły, czy może wiedzie żywot pasożytniczy. To wszystko są dla słońca zupełnie nieistotne kwestie. Wydaje się, że słońce zupełnie nie jest małostkowe. A może inaczej, słoneczna miłość (bo tak chyba trzeba nazwać ten fenomen) jest absolutnie wręcz doskonała, jest bezwarunkowo pełna i dająca.

Tak, słońce jest miłością i daje nam wszystkim największy z darów, czyli siebie.

Czego słońce możesz nas jeszcze nauczyć?

Ryszard Kulik

Fragment książki *Ziemia mój jedyny dom*.